

ADAM LIZAKOWSKI

PAN MARIAN

Udając się na poranny spacer spotkałem sąsiada z góry, czyli z pierwszego piętra pana Mariana, mieszkańca Chicago od kilku już lat, ale tak w ogóle, to jest on z Białostocczyzny, czyli jak wszyscy spod Moniek. Pan Marian mieszka i nie mieszka na górze, wszystko zależy od tego, czy ma pracę, czy jej nie ma. Obecnie jej nie ma, więc mieszka w piwnicy, czyli jak mówią miejscowi w bejzmencie. Jego żona wraz z moją ostrzegły mnie przed nim, abym nie pożyczał mu pieniędzy, ani też nie dokarmił, gdyż wszelki z mojej strony humanitarny odruch pomocy może być źle zrozumiany przez pana Mariana, i pomyśli sobie, że bez pracy też można żyć, bo sąsiad żyć za darmo daje.

Pan Marian to mężczyzna niewysoki, o szerokiej i czerstwej twarzy z dużym czerwonym nosem, drobnej postury ciała; cokolwiek by na siebie nie założył i tak będzie to za duże. Niestety zbyt często zagląda do kieliszka: to że lubi alkohol to za mało powiedziane, on uwielbia alkohol. W stosunku do mnie jest zawsze miły i uprzejmy, nigdy nie miałem z nim kłopotów, nie mi nie zrobił, ale moja własna żona nastawiła mnie do niego wrogo, bo taki facet – powiedziała – nie może pozytywnie wpływać na ciebie.

Pan Marian przeważnie się nie goli, ale nie zapuszcza brody, przeważnie nie ma pracy ani szczęścia w życiu (a kto je ma?). Jest już człowiekiem dojrzałym, a nawet przedojrzałym i dzikość pierwszej młodości dawno poza nim i stąd zapewne biora się wszelkie kłopoty związane z pracą, bo kto przyjeżdża do Ameryki po pięćdziesiątce. Człowiek starszy w tym kraju jest dyskryminowany na każdym kroku, bo powiedzmy sobie prawdę, komu taki gość może być potrzebny? Kto da osobie starszej pracę, która nawet nic po angielsku nie duka, ani me ani be. Tysiące młodych, zdrowych mężczyzn szuka pracy. Ci mają doświadczenie, nie muszą mieć ubezpieczenia medycznego, są sprawniejsi i silniejsi, lepiej i szybciej pracują, ciężiej i efektywniej. To wszystko decyduje o tym, że starość nie zabezpieczona może być w tym

kraju wyjątkowo przykra i ciężka, gdy się straci stały dochód lub zdrowie.

Polki to w Ameryce mają złote życie, jest ich mniej niż mężczyzn i nawet w starszym wieku, mogą uchodzić tutaj za królowe, zawodowo ich sytuacja też jest o wiele lepsza. One zawsze mogą podjąć pracę sprzątaczką i niani do pilnowania dzieci lub pielęgniarką do umierających starców lub choćby jako pomoc do prowadzenia i sprzątania domów. Mężczyźni mają o wiele bardziej trudniejszą sytuację, dlatego pan Marian klnie na Amerykę i przeklina cały ten kapitalizm, mówiąc: w komunie to było życie, o nic człowiek nie musiał się martwić, a teraz masz babo placek, włosy sobie z głowy wydzieraj, albo zdychaj z głodu.

Natknąłem się na pana Mariana niespodziewanie, robiąc minę człowieka nieszczęśliwego. Chciałem go w ten sposób przechrzyć i wyminać szybko, aby nie wdawać się w rozmowy o pogodzie czy właśnie minionych świętach. Jednak on pierwszy powiedział „dzień dobry”, promieniał przy tym tak szczerym i autentycznym uśmiechem, że ten uśmiech zbił mnie z tropu zupełnie. Kręcąc głową w lewo i w prawo chciałem dać mu do zrozumienia, że się spieszę, że nie mam czasu, że porozmawiamy kiedy indziej, teraz już muszę iść i od tego czy już mogę iść zależą losy świata. Lecz on tego wcale nie zauważył, wyciągnął swoją brudną rękę w moim kierunku, Ignął do mnie jeszcze bardziej tym swym ciepłym i szczerym uśmiechem. Nie było rady, musiałem przystanąć i jak zwykle rozpoczęliśmy rozmowę o tej cholemej zimie w Chicago.

Tym razem pan Marian łatwo nie chciał zakończyć tematu, zrobił minę posępnego i zafrasowanego człowieka, jakby zima obchodziła go bardziej niż zwykle. Mrużąc zaropiałe oczy, wszyszczerzając wielkie jak łopaty, żółte od tytoniu zęby, uśmiechnął się tajemniczo i najnormalniej w świecie zapytał mnie:

- Czy jest pan człowiekiem odpowiedzialnym?



Sam się głębiej na tym pytaniem zastanowiłem.

- Nigdy o tym nie myślałem – popatrzyłem panu Marianowi prosto w oczy, niepewny czy sobie ze mnie kpi, czy się upił i żarty sobie ze mnie robi.

- Nigdy o tym nie myślałem – powiedział lirycznie jakbym się zwierzał jakiejś panience ze swojego osobistego życia.

On wydał policzki, lekko uśmiechnął się, czekał cierpliwie na odpowiedź, wiedział, że tak od razu mu nie odpowiem, i moje wahanie sprawiało mu wewnętrzną przyjemność, czego dowodem były śmiejące się oczy. Wydał policzki, lekko się uśmiechnął i nadal czekał na moją odpowiedź.

- Chyba jestem odpowiedzialny – zaśmiałem nieśmiało. Żona mówi, że nie, ale ja myślę, że tak. Poza tym ona zawsze mówi odwrotnie to co myśli, to jest jej specjalność kobieca. Uśmiechnąłem się niezdarnie.

- Albo się jest odpowiedzialnym, albo się nie jest – stwierdził nerwowo sąsiad. - Opinie pańskiej żony w ogóle mnie nie interesują. Opinie wszystkich kobiet całego świata mnie nie interesują, mam dość babskich rządów i opinii, one po prostu wszyskie tutaj zwariowały, Ameryka poprzewracała im w głowach. To nie tylko pańska i moja małżonka dostały kota w Ameryce, u innych kumpli

jest tak samo albo podobnie. Baby w Ameryce głupieją, takie jest moje własne wielkie odkrycie. A co sięyczy pańskiej odpowiedzi, to nie potrzeba żadnej wielkiej filozofii. Albo się jest, albo się nie jest odpowiedzialnym człowiekiem. Po co te akademickie wygłupy, jakieś wyuczone szkolne konwenanse, proszę mi nie utrudniać, samemu się nie męczyć i dać jednoznaczna odpowiedź.

Wzruszyłem ramionami, nie za bardzo wiedząc jak wybrnąć z sytuacji, przelknąłem własną ślinę jakbym lkał truciznę, wzniosłem wzrok do nieba i z namaszczeniem jakbym odmawiał modlitwę powiedziałem:

- Tak jestem człowiekiem odpowiedzialnym.

Sąsiad jakby tylko na to czekał. Z radości aż do góry podskoczył. Ruchem ręki tonącego człowieka sięgnął do kieszeni marynarki, z której wyjął banknoty dolarowe. Drugą ręką poprawił kołnierz mojej koszuli i zupełnie nie patrząc na mnie, tylko w drugą stronę powiedział:

- Ma pan tutaj trzy dolary, dołoży pan następne trzy i na rogu u Meksyka kupi butelkę wódki meksykańskiej. Uśmiechnął się tajemniczo, puszczając do mnie perskie oko.

- Będzie czekał na pana u siebie w piwnicy, przygotuje jakieś kanapki, skocz pan szybko na jednej nodzie, bo szkoda czasu.

ADAM LIZAKOWSKI

Osiemnasty rok

W swym życiu kierował się własnymi zasadami, które stawiał na równi z tymi z mądrych ksiąg filozoficznych, czytał książki uznanych myślicieli, pisarzy, których słowa wkładał w swoje usta, a ich myśli w swoją głowę.

Był wykształcony, inteligentny, skrywał swe pretensje do świata pod płaszczem piękna i mądrości sztuki. Starał się być kimś, kim nie był, w towarzystwie przyjaciół-emigrantów z jego ojczyzny przybierał minę kogoś, kto spędza czas na szukaniu ładu i harmonii, którego drogę życiową wyznaczają księgi Biblii, poematy Homera, Dantego czy Goethego.

W rzeczywistości był nikim, czyli emigrantem, małym człowiekiem biegającym za strawą codzienną od rana do wieczora w pocie czoła, zagubionym w obcym miejscu, obcym kraju, słabo znającym język obcy. Nie miał pojęcia, jaki był żalony, jaki był śmieszny.

Przyjął obce nazwisko, ubierał się jak obcy, często mawiał, że myśli jak obcy. Przez cały czas na emigracji grał kogoś innego, wśród swoich i obcych chciał być swój.

Obcym opowiadał, jak to był młodym, gniewnym, pełnym chęci poznania świata, poszukującym sposobu wyłożenia swoich myśli, uczuć i doświadczeń. Swoim opowiadał jaki to z niego bogacz, ile to mądrych książek przeczytał w obcym języku, czego to jego oczy nie widziały. Jak to się jego dusza wzbogaciła i ilu pięknych doznała wzruszeń.

Mały śmieszny emigrant – nikt, osiemnasty rok na emigracji, próbujący wynieść do godności własne życie jako jedyne źródło i najwyższą miarę poezji.

